

WALERY PRZYBOROWSKI.

CZERWONA MARA

Powieść z dnia wczorajszego.

All is true.

I.

Słońce lipcowe przypiekało mocno. Stary owczarz ze wsi Góry, wypędziwszy owce na ugorzysko pod lasem, legł w cieniu krzaków, by się uchronić od upału. Nie lubił on tego pola; budziło w nim mnóstwo przykrych wspomnień. Dotąd na skraju lasu, nad mokradłem, które się rozciągało aż do rzeki, widniała porośla jałowcem i zielskiem wszelakiem, na pół zapadła mogiła, usypana przed czterdziestu przeszło laty nad mnóstwem ciał. Pamiętał on te czasy, wszak żywy brał w nich udział i był podobno czynnym widzem tego, co się tu działo wtedy, choć nie lubiał o tem gadać. Znany był zresztą z małomówności, ze zgryźliwego usposobienia w całej okolicy i wszyscy mieli dlań wielkie poszanowanie, bo był mądry, bano go się trochę, choć chłopci za plecami owczarza podrzyskiwali sobie z tego, że „po ślachecku” z Orczyka. Błażeja Orczyka, przeważał się Orczykiewiczem.

Ale mu ta niewinna próżność w niczem nie szkodziła. Owczarz to był nad owczarze, a leczyć umiał tak, że niech się schowają wszystkie warszawskie i krakowskie doktory. Przypędził on owce dworskie tego rana na ugor pod lasem, naprzód dlatego, że tam rosła obficie macierzanka, a jak on ją zwał po staremu, „macierzanka duszka”, oraz dwa zioła rzadkie i w całej okolicy nigdzie nie znajdowane, tylko tutaj, koziolę i oset szkapi albo czartowski, wypróbowane lekarstwa na wściekliwość. Orczykiewicz przyszedł z tych ziół cudowny dekolt, który sprzedawał za psie, jak mówiono, pieniądze, bo za trzy czeskie czyli 18 groszy każdemu, którego pies wściekły pokąsał. Prócz tego zbierał tu mech jaszczurczy, najpewniejszy środek na kolki w brzuchu; mech ten rósł i gdzie indziej, ale tutaj, około mogiły było go najwięcej, a Orczykiewicz przypuszczał, że dlatego te rzadkie zioła tak obficie występują na ugorze i trzęsawiskach pod lasem, że ziemia tu była przesiąknięta krwią i wapniami ciał, pochowanych w mogile, ale o tem nikomu nie gadał, bo co o tem głupie chłopcy wiedzą i rozumieją!

Wszystkie te zbawienne zioła trzeba było zbierać co dwa dni po pełni, o samym wschodzie słońca i dlatego to dziś Orczykiewicz o świtanu wypędził owce na ugorzysko, leków tych dużo nazbierał i starą, wytartą, niegdyś myśliwską torbę borsuczaka napełnił niemi i teraz zmęczony, bo przecie liczył przeszło siedmdziesiąt lat, legł pod chojakami nieopodal mokradła i mogiły, by sobie odpocząć. Krzyż go zabolał i spociał się mocno i oczy mu się kleiły i chciał już zdrzemnąć się trochę, bo naprzód stary Burek, psisko wierne i mądre, upilnuje owiec, a potem od czegoż jest pastuch i pomocnik Orczykiewicza, Wojtek, Mecherzyna przezwiskiem.

Co prawda Orczykiewicz więcej polegał na mądrym Burku, niż na Wojtku, który był latawiec, próżniak, do hulanki i dziewczuch jedyny, ale nie do pracy. Zwąchał się szelma z jakimś podejrzanym ludźmi, którzy Bóg wie skąd kręcili się po wsi, z jakimś, jak go nazywał „sołdatem” i podparłszy się pod boki, gadał:

— A wiecie Błażeju, że tera nie będzie nijakich dziedziców, lecz takie czasy nastaną, co to wszystko, jak okiem sięgnąć, będzie nasze.

— A niby kogójs? — pytał Orczykiewicz.

— Ano, moje i wszyckich.

— Twoje, a bez co to ma być twoje?

— Bez cóż? ano takie tera prawa nastaną.

Orczykiewicz patrzył, patrzył na Wojtkę, wreszcie splunął i mruknął:

— Oj głupi, głupi ośle! Ja ci pedam kpie, że nim to wszystko będzie twoje, to ja cię przód tak zerznę pasem, że ruski miesiąc popamiętasz.

— Owa! Za cóż to macie mnie zerznąć pasem?

— Za to, że nie pilnujesz tego, z czego masz chleb.

— Tera nie będzie wolno bić, nie będzie ani panów, ani nikogo, coby pasem rznął, tera będzie równość.

Tak gadał Wojtek, ale trzymał się zdaleka od owczarza i podejrzanym okiem spoglądał na tęgi, rzemieenny pas, którym ten podtrzymywał na sobie sukmanę. I teraz oto, gdy Orczykiewicz nazbiera-

szy ziół, legł sobie dla odpoczynku pod chojakiem, Wojtek zamiast pilnować owiec kręcił się ciągle po ugorzysku i po lesie, ziewał głośno, przeciągał się i przypatrywał, jak kawki ni stąd ni zowąd zleciały się na starą, na pół spróchniałą wierzbę, stojącą nieopodal mogiły i czegoś zawzięcie krakały i darty się nielitościwie.

Z początku patrzył dość obojętnie na te ptasie wrzaski i spory, ale niebawem zauważył, że kawek coraz więcej przybywało, krzyk się wzmacniał, a nawet niektóre z nich rzucały się wewnątrz spróchniałego pnia wierzby, zrywały się, znowu tam spadały i wogóle niepokój ich robił wrażenie, jakby one tam coś widziały. Zaciekawiony tem Wojtek, ruszył ku wierzbie, by zobaczyć, co to tak niepokoi wrony i kawki, a gdy spłoszone jego pojawieniem się ptaki, z krzykiem wzbiły się w górę, nie przestając jednak krzyczeć nad wierzbą, wdrapał się na nią i zajrzał do wnętrza. To, co ujrział, zgrozą go przejęło.

Pień starej, ogromnej wierzby był wewnątrz zupełnie spróchniał i w tym otworze, sięgającym aż do ziemi, stał kościotrup człowieka. Słońce, przedzierając się przez gałęzie, oświecało jaskrawo nagą, białą czaszkę szkieletu, na której tu i ówdzie sterczały kępki ciemnych włosów. Obok niej zwiślało, oparte o korę, o zmurszałe gałęzie, coś podobnego do czapki spłowiałej barwy czerwonej, na pół przegniłej i sterczał rdzą pokryty żelazny bagnet. Dokoła wiadał resztki gliny, gałęzi, suchych liści, które zapewne dotąd pokrywały i osłaniały tę czaszkę trupa, a teraz wskutek jakiegoś wypadku opadły i odkryły szkielet, wywołujący widokiem swoim niepokój wśród wron i kawek. Reszta dziupli drzewnej była przepełniona takimi samymi szczątkami, czarna i ciemna i nie dozwalała widzieć, czy cały tam szkielet ludzki się kryje, czy też jedynie głowa leży oparta, zapewne na zgnilem wnętrzu drzewa.

Wojtek skamieniał. Patrzył, patrzył na tę białą jak śnieg trupa głowę, wreszcie chwycił go strach zabobonny, zeskoczył coby prędzej na ziemię i jakby go widmo szkieletu ściagało, począł uciekać, wołając:

— O laboga! laboga! rety!

Te jego krzyki zbudziły na pół już drzemającego Orczykiewicza. Podniósł się nieco, oparł na łokciu i krzyknął:

— Wojtek, a ty czego się drzesz? co się zaś stało?

Niespokojny był bardzo, czy czasem wilk się nie pojawił wśród jego stada owczego, choć o wilkach od pięćdziesięciu lat nikt tutaj nie słyszał, więc podniósł się lepiej, obejrzał dookoła, a widząc, że jego owieczki pasą się spokojnie, Burek drzemie na słońcu, nie mógł zrozumieć, co się Wojtkowi stało, czego ten leci i krzyczy swoje rety! Więc jeszcze raz zawołał:

— Co ci jest? gadaż, czy cię giez ukąsił, czyś się wściekł?

Na te słowa Wojtek przecie się upamiętał, zatrzymał się, spojrzął z przerażeniem na suchą wierzbę, na którą znowu ze złowrogiem krakaniem zlatywały się zaczęły wrony i odrzekł:

— Ale! Wściekł się!... dobrze wam tak gadać, ale idźcie no, obaczcie, co tam jest we wierzbie.

— W jakiej wierzbie?

— A w tej, kole mogiły.

Orczykiewicz spojrzął na tę wierzbę i widząc gromady wron, nad nią unoszące się, nie mógł zrozumieć, co to znaczy, ale zaniepokojony, podniósł się ciężko na nogi i spytał:

— Cóż tam jest? gadaż!

— Obaczcie sami, tam jest nieboszczyk.

— Jaki nieboszczyk?

— Wiem ja to, jaki nieboszczyk... pewnikiem kogoś zakatrupili i w suchą wierzbę wsadzili. O laboga, jeszcze mi ciarki po skórze chodzą. Ażem zcierpł.

— Co ty pleciesz głupi? Kogo zakatrupili?

— Wiem ja, kogo? Idźcie sami i obaczcie.

Tedy Orczykiewicz wziął laskę w rękę i gadając:

— Oszałał głupi, czy co? — ruszył ku wierzbie.

Za nim, zdaleka, gotowy każdej chwili do ucieczki, posuwał się ostrożnie Wojtek, za Wojtkiem Burek, który zbudzony krzykiem chłopaka i rozmową z owczarzem, podniósł łeb, chwilę patrzył i nadsłuchiwał, jakby rozumiał, o co idzie, wreszcie, widząc swego pana wstającego, uczynił to samo i leniwie, ze spuszczonego ogonem, jakby tem chciał dać przeczuć, że wcale mu się to nie podoba, że jego słodką drzemkę na słońcu przerywają, powłócił się za Orczykiewiczem.

Wrony za zbliżaniem się tego ostatniego z przeraźliwym krzykiem pozrywały się, ale nie przestawały krążyć nad złowieszczą wierzbą, a nawet większa ich część posiadała na pobliskich sosnach lasu i wykrecając czarne łby, przypatrywały się czynno-

ściom owczarza. Ten obejrzał wierzbę z wierzchu starannie, ale oczywiście przekonał się, że przy swoich siedmdziesięciu latach, nie może nawet myśleć o wdrapaniu się na nią. Skinął tedy na Wojtkę, żeby się zbliżył, ale ten, przejęty zabobonną trwogą, wcale nie chciał tego uczynić, aż dopiero po długich naleganiach i groźbie orznięcia rzemieennym pasem przyszedł.

— Pedasz? — pytał Orczykiewicz — co tam jest nieboszczyk?

— A jest.

— Widziałeś go?

— Juści, że widziałem.

— Podsadźże mnie, niech i ja obaczę.

— Dam ja to wam radę?

— Głupiś! byłem się chycił rękoma tej oto grubej gałęzi, to i sam się wdrapię.

Jakoż tak się stało. Wojtak, chłopak tęgi, barczysty i zdrowy, jak byk, z łatwością uniósł w górę chudego, jak szczapa i cienkiego, jak tyczka, Orczykiewicza, a ten, chwyciwszy się grubej gałęzi, wdrapał się na wierzch wierzby, sapiąc, jak miech kowalski i stękając głośno. Znalazłszy się na szczycie suchego pnia, spojrzął do jego wnętrza, patrzył długo, nawet ręką po coś sięgnął, wreszcie przeżegnał się nabożnie i zsunął się na ziemię. Tu usiadł sobie, oddychając ciężko i nie mówiąc, ale surowe jego, spłonięte i zaczerwienione oczy groźnie jakoś błędziły po lesie, po Wojtku, po mogiłę i owcach. Wreszcie rzekł do stojącego opodal Wojtkę:

— Słuchajno Wojtek... jeśli mi słówko komu piśniesz o tym nieboszczyku we wierzbie, to ja cię bić nie będę, ale uczynię coś takiego, że umrzesz straszną śmiercią... to ci powiadam, żebyś wiedział, hycu jakiś.

— O laboga! cóżem wam krzyw, że mię tak pomstujecie?

— Ani mi pary z gęby nie puść o tem, coś tu widział, rozumiesz?

— Co nie mam rozumieć?

— Nie będziesz gadał?

— Co mam gadać?

— Przed nikim, zapowiadam ci, przed żadną dziewczką, z którymi się zgizsz, ani nawet przed Józefką Podkówną, co z nią wieczorami za oborą wystajesz.

Wojtek niby zawstydzony, odwrócił i mruknął:

— Widzieliście to mnie, żeby z Józefką wystawał za oborą?

— A widziałem, bo ja wszystko wiem i widzę. Taką mi Pan Jezus dał moc i taki zakon. To ci zapowiadam, że, chociażbyś w największym sekrecie, komu jedno słówko piśnał o tej wierzbie i o nieboszczyku, to ja zaraz będę wiedział i niech cię Pan Jezus broni, co się z tobą wtedy stanie.

— O laboga! com wam winien?

— Nie będziesz gadał?

— Nie będę.

— Przysięgasz?

— Przysięgam.

— Pamiętaj! a tera spędź owce, wracamy do domu, już też słońce ma się ku południowi.

Wojtek w milczeniu spełnił ten rozkaz, ale mu dziwno było, dlaczego stary Orczykiewicz tak uroczyście go zaklął, żeby w tajemnicy zachował wiadomość o nieboszczyku w wierzbie i zagroził mu straszną śmiercią, jeżeli komu o tem powie.

— Ani chybi, stary pewnikiem ma jakiś interes w tem...

Spędzał owce i myślał:

— Czarownik to dziad... zna zielska i leki rozmaite... ani chybi z nieboszczyka kości powyjmą i będzie z nich warzył o północy różne napoje. To ci dopiero chytry dziad, a mnie chudziaka może zatracić... Żeby go kolka sparała.

Spędził nakoniec owce i wolno ruszono na gościniec, do wsi prowadzący. Orczykiewicz szedł w milczeniu, z głową spuszczoną, zamyślony, nie zważając na ogromne chmury kurzu, jakie z wyschniętej ziemi duże stado owiec podnosiło. Wojtek też nie gadał, bo mu różne myśli do głowy przychodziły, jeden tylko Burek naszczekiwał i pilnował, by owce kupy się trzymały, jak to był jego psi obowiązek.

Orczykiewicz kazał owce wpędzić do owczarni i na wielkie zdziwienie Wojtkę, powłócił się do dworu.

II.

Orczykiewicz mylił się, a może umyślnie tak gadał dla usprawiedliwienia swego wczesnego powrotu do domu, że słońce ma się ku południowi, gdyż był to jeszcze ranek, zaledwie dziewiąta godzina wybiła na zegarze w saloniku dworu w Górze.

We dworze tym, na werandzie, wychodzącej na